

# TAK, STĄD

## Tak, stąd

Przekręciła klucz w zamku. Szczęknął tak samo jak dawniej. Nacisnęła klamkę i otworzyła wolno drzwi. Weszła. W powietrzu unosił się delikatny zapach jabłek. Od jesieni do wczesnej wiosny ganek zawsze służył im za swego rodzaju spiżarnię. Tutaj było najchłodniej, wypełnione owocem skrzynki mogły przetrwać nawet do marca, a przy długiej, mroźnej zimie i w kwietniu zjadali ostatnie grochówki, nieciekawe w wyglądzie, drobne, lecz smaczne jabłka. Zanim podeszła do następnych, wiodących już do głównej części domu drzwi, rozejrzała się po znajomym w każdym szczególe wnętrzu. I dopiero teraz uświadomiła sobie, iż ów wyczuwalny zapach wypływa wyłącznie z jej pamięci, ganek był pusty. Nawet stara, nieużywana lodówka stojąca w kącie od niepamiętnych czasów została usunięta. Wyciągnęła z kieszeni drugi klucz i otworzyła w końcu ciężkie, drewniane, zamykające się od wewnętrznej strony na łańcuch drzwi. Był on znakomitym sposobem anonsowania gości, przy naciśnięciu klamki brzęczał aż na drugim końcu domu, nawet na piętrze był słyszalny. Jego grubość zaś wykluczała podstępne przedostanie się do środka ewentualnych złodziei. Tyle, że od dawna nikt już go nie zakładał... Odetchnęła głęboko, gdyż coś ją ścisnęło w piersiach i weszła na korytarz. Zrobiła jednak tylko kilka kroków, po czym usiadła na najniższym stopniu schodów prowadzących na piętro. Dłonie dziwnie jej się trzęsły. Zaciśnęła kurczowo pięści, próbując się opanować. Spojrzała na zamknięte po przeciwległej stronie drzwi, na których widniała znana jej na pamięć tabliczka obwieszczająca, że „Zakład Szewski czynny od... do... W soboty...”. Przesunęła wzrokiem bardziej w bok, a potem w drugą stronę. Wszystko tak samo, inna tylko ta straszna cisza. Ścisnęła dłonie jeszcze mocniej, po czym wstała z zamiarem obejścia wszystkich pomieszczeń. Podeszła do tabliczki. Zakład czynny od... do... Nie, zanim zmierzy się z teraźniejszością, musi poukładać sobie najbliższą przeszłość. Nie zamykając niczego wyszła na zewnątrz. Usiadła tym razem na najwyższym stopniu trzech niewielkich schodków prowadzących na ganek. W dzieciństwie wydawały jej się takie wysokie...

Wieść o spadku przyjęła z niedowierzającym zdziwieniem. W pierwszym momencie była nawet przekonana, że to pomyłka. Zaraz po pogrzebie babci... dziadek nie żył już od kilku lat... wróciła do domu, do Ciechanowa. Jeszcze tego samego dnia złożył jej wizytę notariusz. Przeprosił ją, że tak od razu, że nie daje uspokoić się emocjom, ale sprawa dotyczy jej osobiście i musi. Zaprosiła go do środka, poczęstowała kawą i skromną kolacją. Jeśli dotarł do niej tak szybko, musiał wyjechać zaraz po pogrzebie, na którym był również, natomiast nie był na obiedzie, na który zaproszono rodzinę i przyjaciół, grzecznie podziękował, wymawiając się obowiązkami. Okazało się, iż owe obowiązki dotyczyły jej. Sto pięćdziesiąt kilometrów, z Brzezin pod Łodzią do Ciechanowa, niby nie tak daleko, ale chciał jeszcze raz całość dokładnie przemyśleć, by przekazać wszystko to, o co prosiła go spadkodawczyni te kilka lat temu, kiedy spisywała u niego testament. Kolację przyjął z wdzięcznością, rzeczywiście nie miał kiedy zjeść. Mówić zaczął już w trakcie. Słuchała go z

rosnącym niedowierzaniem. Kiedy skończył, wyraz twarzy miała taki, że bez słowa wyciągnął ze stojącej przy jego krześle teczki odpowiedni dokument – testament jej babki.

- Ale dlaczego ja?! - spytała kilka dni później własnego brata, który wezwany w trybie nagłym przyjechał z Mikołajek wczesnym popołudniem. - Przecież ty byłeś z babcią bardziej związany. Z dziadkiem zresztą też.

- Powiedziała, że jesteś stąd... Ja nie.

- Nie rozumiem. Jak, stąd?

- Tak po prostu, stąd. Na początku również nie pojmowałem, ale wiesz, ona miała rację.

- Mów jaśniej, bo chyba zwariuję. O niczym innym nie potrafię myśleć.

- Przykro mi, siostrzyczko, musisz sama się z tym uporać.

- Jacek!

- Taka była babci wola. Mam ci powiedzieć wyłącznie w ostateczności. Ale wierzę w ciebie, Kaśka, mam inteligentną siostrę, jedyną zresztą.

- Nie żal ci? - spytała po chwili milczenia. - Słuchaj, jeśli chcesz, ja ci mogę to oddać. Naprawdę bardziej zasługujesz niż ja.

- Daj spokój... - zachnął się.

- Albo czekaj, sprzedamy wszystko i podzielimy pół na pół!

Jacek spojrział na nią z zastanowieniem.

- Naprawdę potrafiłabyś sprzedać?

No tak, bardzo trafne pytanie. Nie, nie potrafiłaby. Tak samo jak i Jacek.

Od tej rozmowy emocje jakby opadły, wyciszyła się, zniknęło pytanie *dlaczego?*... Pojawiło się jednak *jak?* Jak ma być w domu, który przepełniony jest obecnością tych, których już nie ma? Jak to nie ma?!

Nie odważyła się jechać do Brzezin aż do zakończenia postępowania spadkowego, które na jej szczęście trwało aż pół roku. Potem przeciągnęła jeszcze trzy miesiące. Nadszedł jednak dzień, kiedy z szeroko otworzonymi z przerażenia oczami wysiadła z autobusu na jednym z przystanków jej rodzinnego miasta. Wolno ruszyła, nie zastanawiając się nad tym i w pewnym stopniu bezwiednie, w stronę centrum. Dotarła na miejsce i stanęła zaskoczona. Jakoś chyba inaczej było...? Aaa... no tak, wzorem innych miast Brzeziny poszły z duchem czasu. Gruntowny remont przemienił plac Jana Pawła II w eleganckie miejsce w stylu nieco retro. Uśmiechnęła się z rozczuleniem. Ładnie wyszło. Kostka brukowa, odnowiony pomnik, nawet fontanna... taka co to woda tryska prosto z podłoża, najmodniejsza teraz wśród projektantów... nowe ławeczki. Przysiadła na jednej z nich, nie musiała się nigdzie spieszyć, nie miała do czego. Nie miała do kogo. Nie, o tym myśleć nie należało. Lepiej

popatrzeć wokół. Podniosła wzrok na rosnące po przeciwległej stronie drzewa, jej ulubione. O tak, ich widok koił. Dobrze, że przy remoncie nie wycięli. Nie wyobrażała sobie bez nich tego miejsca. Były stąd. Zmarszczyła czoło. Po raz pierwszy przemknął jej przez myśl cień zrozumienia o co chodziło jej babce. I te kamieniczki, budynki, miały w sobie coś urzekającego, choć tak naprawdę nie prezentowały sobą nadzwyczajności, przynajmniej nie wszystkie. Przypomniało jej się jak w szkolnych latach czuła tutaj, dokładnie tutaj, obchodząc dookoła cały plac, swoje sukcesy. Piątka z polskiego, czwórka z geografii, wygrany konkurs botaniczny... Zanim wróciła do domu, musiała zawsze obejść kilka kółek rozpamiętując własny sukces. Ale tylko sukces. Do porażek miała inne miejsce. Wstała z ławki i już świadomie skierowała się do parku. Dzisiaj również, tak jak niejednokrotnie kiedyś potrzebowała ukojenia tamtego „zakrętu”. Wolno przemierzała znane alejki, minęła plac zabaw, na którym jeszcze nie było dzieci, albo raczej już, piąta po południu pod koniec października nie sprzyja dziecięcym zabawom. Przed jej oczami, nieco z boku zamigotała po chwili tafla wody. Staw położony był na skrzyżowaniu alejek, właśnie „na zakręcie”. Dobra nazwa dla miejsca, do którego przychodziła zawsze, gdy jej życie stawało na rozdrożu. Patrząc na równą powierzchnię, w której odbijało się zaleźnie od pory roku mniej lub bardziej jaskrawe słońce, na przeciwległy brzeg, problemy zmniejszyły swój ciężar. Postąpiła chwilę i ruszyła dalej w swój obchód, wolno, bardzo wolno. Nie trwał już jednak długo. Zdecydowała się w końcu, jak mawiał jej dziadek, „odważnie wziąć przyszłość w swoje ręce”. Dom „starych Brzęczków” położony był na skraju miasta, obecnie w jego ramach, niegdyś, kiedy Tolek Brzęczek go budował... tuż po wojnie... w szczerym polu, nawet polnej drogi nie było. Dzisiaj stał w równym rzędzie z przeważnie nowymi budynkami, w uliczce domków jednorodzinnych, na Ogrodowej 12f. Przyspieszyła jednak kroku, robiło się późno. Przeszła obok zakładu ZUS, minęła jeden z nowszych budynków mieszkalnych, po czym zatrzymała się zaskoczona. Wprawdzie nie była w Brzezinach od wielu lat, zatem miała prawo nie znać następujących tu zmian, jednak widok trzech bloków... ładnych i nowoczesnych, w kształcie litery „U” każdy... w miejscu, gdzie kiedyś było zwykłe pole trochę ją zaskoczył. Poczowała, że świat w jej oczach wiruje. Wszystko to, do czego przywykła we własnym mieście było inne, nawet miejsca, które pozornie się nie zmieniły. Nie oznaczało to, że były gorsze, nie, po prostu inne, a ona wypadła już z ich rytmu. Czy będzie potrafiła tu wrócić? Dotarła w końcu do domu. Nie otwierając, zatrzymała dłonie na furteczce prowadzącej w głąb posesji i popatrzyła przed siebie. On jeden oparł się zmianom, był dokładnie taki, jak dawniej. Niestety.

Podniosła się ze schodka, pora zakończyć rozmyślenia, niczego nie zmienia. Trzeba wziąć się do pracy. Przede wszystkim musi posprzątać. Odwróciła się energicznie twarzą do otwartego wnętrza, na końcu którego przez otwarte drzwi łazienki widać było ławeczkę, a na niej równiutko poskładane ręczniki. Tak jak zwykle robiła to jej babka. Wyszarpnęła z kieszeni spodni komórkę i wybiegła na ulicę, a raczej pełną drogę, nie położono tu jeszcze asfaltu.

- Jacek? Ja tego nie wytrzymam, sprzedaję!

- Co się stało? - przeraził się.

- Wygląda jakby tylko na chwilę wyszła, rozumiesz? Ręczniki leżą poskładane gdzie zwykle, pelargonie na parapetach ganku pół okna zasłaniają kwieciami! Ziemię mają mokrą! Susza podobno od miesiąca, a one mają mokrą, rozumiesz?! Trawa w ogrodzie skoszona! Sprzedaję albo natychmiast wychodzę za mąż! Ja tu sama nie wytrzymam!!!

- Kaśka, przyjadę w sobotę! Razem z Jadzią przyjedziemy! Słuchaj, zostaniemy z tobą nawet rok, przez ten czas jakoś się ułoży, zobaczysz!

- Do soboty całe półtorej doby!

- Skorzystaj na ten czas z drugiej propozycji.

- Ale za kogo?!

- Nie wiem. Idź do Bartnickich, oni zawsze mają nadmiar kandydatów.

Wróciła do domu. Wycierając wierzchem dłoni mokre policzki, otworzyła drzwi do stołowego pokoju. Usiadła na jednej z wersalek i zanurzyła twarz w dłoniach. Po chwili jednak podniosła głowę... i oniemiała. Przed jej oczami na ławie, tam gdzie zawsze, stała choinka. Skromne, stare, niektóre nawet sześćdziesięcioletnie, urzekające swym zniszczonym pięknem ozdoby wirowały leciutko w ciepłym powiewie, wywoływanych przez przechodzące obok osoby. Pokój oświetlały jedynie choinkowe światełka i gwiazda kupiona przez dziadka we wczesnym dzieciństwie jego wnuczki. Nakryty do wieczery wigilijnej stół przyciągał wzrok skromnym, lecz ładnym nakryciem. Na jego środku, w stroiku długa świeca czekała, aż ją ktoś zapali. Cienkie, białe opłatki leżały obok w cierpliwym oczekiwaniu, aż je pomarszczona dłoń rozdzieli wśród tych, którzy zasiądą niedługo do wspólnej, wigilijnej wieczery. Włączony na chwilę telewizor, pełniący funkcję radia, którego tutaj nie było, śpiewał cicho wprawnym głosem sławnych polskich solistów najbardziej znane kolędy. Przymknęła powieki, zdając sobie sprawę, że to tylko jej imaginacja, wyłącznie wspomnienie scen, które powtarzane przez ponad dwadzieścia lat w prawie identycznej formie wracały teraz, jak fragmenty ulubionego filmu. Ale kiedy otworzy oczy, wszystko zniknie. Już! Stuk, stuk, trrr... stuk, stuk, trrr... Odwróciła głowę w bok, nasłuchując. To za ścianą. No tak, Tolek Brzęczek miał dobre serce, wykańczał w pośpiechu, ale jak zawsze porządnie, czyjeś buty. Jak zwykle przyszedł pewnie ktoś w ostatniej chwili, prosząc o naprawę jeszcze przed świętami. „Może być w dniu Wigilii, panie Toleczku, ale żebyśmy na wieczere do rodziny zdążyli!”. Ucichło. Powróciła wzrokiem w pierwotne miejsce. Scena zmieniła się o tyle, że teraz siedzieli wszyscy przy stole. Razem. Ci, którzy już odeszli i ci, którzy ich kochali. Wszyscy, jak za tych lat, kiedy ustawiano jeszcze komplet krzeseł. Częstowali się jej pierwszym w historii wypiekami, dziadek po cichutku próbował ściągnąć od swej strony największy kawałek ciasta. Uśmiechnęła się do siebie. Podciągnęła nogi na wersalkę i przykryła kocem. „No widzisz, mówiłem ci, że na pewno się uda. Nie może wyjść zakalec z czegoś, w co wkładasz serce.” Wolno, stopniowo wyciszała się. Ta pół jawa, pół sen sprowadziła zrozumienie. Poczula bardzo wyraźnie, iż ten dom nie jest pusty, że jego cisza nie boli. Oni tutaj byli... I będą zawsze... I tak, mieli rację, obydwój, Teresa i Tolek Brzęczek: była stąd. To jej miejsce, najbardziej ze wszystkich. Obudziło ją delikatne tarmoszenie za ramię. Poderwała się przestraszona.

- Nie bój się, Kasiu, to tylko ja, Krędziołek - uspokoił ją najbliższy sąsiad. - Przyprowaździłem gościa. Przepraszam za porę, ale się uparł.

Rozbudzona w jednej chwili, wstała z wersalki poprawiając machinalnie włosy. Zapaliwszy światło, wskazała przybyłym krzesła.

- Chcę odkupić od pani ten dom - rzekł bez wstępów znajomy Krędziołek.

- Przykro mi, ale ja go nie sprzedaję – odpowiedziała spokojnie.

- Dam dużo więcej niż jest wart.

- On nie jest na sprzedaż.

- Po co pani taki rupień? Nie lepiej kupić sobie nowy gdzieś w dużym mieście? Choćby w Łodzi, Warszawie? Do rozrywek bliżej, do pracy...

- Przykro mi.

- Czteryście tysięcy, choć wart jest jak na te czasy sto pięćdziesiąt, no maksymalnie dwieście.

- Nie.

- Pięćset.

- Nie.

- Tu się wszystko sypie, trzeba remontować, a i to nie powiedziane, że wyjdzie dobrze, ze starych chodaków nie zrobi eleganckich pantofelków.

- Nie może wyjść zakalec z czegoś, w co wkłada się serce.

- Ale pani uparta. Pięćset sześćdziesiąt?

- Nie.

- Dlaczego nie?!

- Bo ja jestem stąd, proszę pana.

Zaskoczony niebotycznie Krędziołek spojrział na nią, po czym jego twarz rozjaśniła się wielką, nieskrywaną radością.

Nazajutrz z samego rana wyszła przed dom i założywszy gruby sweter ruszyła w obchód ogrodu. Chciała sprawdzić, czy późnojesienne jabłonie obrodziły w tym roku. Nie zdążyła jednak. Wzrok jej padł na daszek nad gankiem i stanęła jak wryta.

- Panie Krędziołek, a cóż pan tam robi?!

- Rynna się zapchała, zima idzie, trzeba jak najszybciej wyczyścić, Kasieńko! Zaraz syn dojdzie, Sebek, po wyższą drabinę poszedł, bo wleźć wlażem, ale żeby zejść muszę mieć własną, jakoś na innej mi nie idzie!

Pokręciła tylko głową i roześmiała się serdecznie.

- Zrobię śniadanie, zapraszam za piętnaście minut! Ale moment, czy to może też pan podlewał na zewnętrznych parapetach kwiatki i kosił ogród?

- No pewnie, przecież szkoda było. Ale zmienialiśmy się z synem, raz ja, raz Sebek. A kwiatki to już żona.

Sebek, miłość jej życia. Tyle że nigdy nie odważyła mu się o tym powiedzieć. On podobno tak samo. Dlaczego...?

W sobotę o zapowiedzianej godzinie przed furtkę zajechał Jacek z żoną. Tuż za nimi zatrzymało się BMW.

- To jak? Sprzeda pani?

Obejrzała się. W jej kierunku zmierzał wczorajszy „natręt” z nastoletnim chłopcem.

- Nie.

- Tu potrzeba mężczyzny!

- I jest – powiedział spokojnie Sebek, podchodząc z tyłu i kładąc dłonie na jej ramionach. Nie odwracając się, przykryła je własnymi.

- Zamiast się upierać, jak każda porządna kobieta poleżałabyś z dobrą książką pod drzewem! Co ci się tu tak podoba?! Dziury w chodnikach?! Śmierdzące budy na bazarku?!...

- No cóż, zawsze z tej ziemi.

- ...Na przemian roztopy i kłęby kurzu na waszej powiedzmy że drodze?! Przecież nawet asfaltu tu nie ma! Co ci się tu, do cholery, tak podoba?!

- Ja wiem, tato – odezwał się milczący dotąd chłopiec. - Po prostu wszystkie barwy codzienności.

*Magdalena Mordel*